

K L A S Y K A M N I E J Z N A N A



Ignacy Chodźko

PAMIĘTNIKI KWESTARZA

universitas

PAMIĘTNIKI KWESTARZA

Ignacy Chodźko (1794-1861) pisarz, członek Towarzystwa Szubrawców, pełnił funkcje obywatelskie i administracyjne na Wileńszczyźnie. Ukończył studia na uniwersytecie w Wilnie, pisywał satyryczne artykuły; jego pierwsze utwory poetyckie (ody, anakreontyki, epigramaty) utrzymane są w konwencji klasycystycznej. Debiutem powieściowym Chodźki był *Poddany* (1829), a popularność przyniosły mu – będące odwrotem od klasycyzmu – *Obrazy litewskie* (1840-1862, VI serii) i *Podania litewskie* (1852-1860, IV serie), które zyskały mu miano „rzecznika szlachetczyzny”.

Pamiętniki kwestarza ukazały się w roku 1844 jako trzecia seria *Obrazów litewskich* i są najpopularniejszą powieścią Chodźki. Forma pamiętnikarska pozwoliła mu na ukazanie prywatnych scen z życia zaścianka, a także wielkich wydarzeń historycznych widzianych z tej ograniczonej perspektywy. Powieść zawiera – czerpane z dziecięcych wspomnień autora – malownicze opisy obyczajów szlachty litewskiej tuż przed zaborami i w okresie napoleońskim, a przede wszystkim barwne portrety postaci charakterystycznych: fikcyjnych i historycznych (Radziwiłłowie, Napoleon). *Pamiętniki kwestarza* porównywano z *Pamiętkami Soplicy* Henryka Rzewuskiego, mieszczącymi się w tym samym nurcie gawędy szlacheckiej. Nawiązaniem do trzeciej serii *Obrazów litewskich* były *Nowe pamiętniki kwestarza*, opublikowane po śmierci Chodźki.

K L A S Y K A M N I E J Z N A N A

Ignacy Chodźko

PAMIĘTNIKI
KWESTARZA

Kraków

© Copyright for Klasyka Mniej Znana
by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych
UNIVERSITAS, Kraków 2003

Podstawą niniejszej edycji jest wydanie:

Ignacy Chodźko, *Pamiętniki kwestarza*, wstępem i objaśnieniami
opatrzył P. Chmielowski, Kraków 1898.

Tekst *Przypisów o Wołodkowiczu* według wydania: Ignacy Chodźko,
Obrazy litewskie, seria trzecia, *Pamiętniki kwestarza*, Wilno 1872.

Tekst zmodernizowano według obowiązujących zasad
ortograficznych i interpunkcyjnych.

Opracowanie tekstu

Magdalena Siwiec

ISBN 97883-242-1120-3

TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki serii

Ewa Gray

WSTĘP AUTORA

Dnia wczorajszego zawołał mnie z rana pan wojewoda do swojej kancelarii i wchodzącego zapytał:

– A czy traktowałeś waść, ojcze święty! (takie jest przysłowie pana wojewody) szkoły?

Zdziwiłem się mocno na taką kwestię i odpowiedziałem:

– Aż do poezymy *inclusive* [włącznie], JW panie!

– A dlaczegoż waść nie słuchałeś i retoryki?

– Przewidywałem, JW panie, że się nasłucham retoryki na służbie u wielkich panów.

– Oho! znać dworaka. No, ale choć waść nie retor, potrafisz jednak pisać *currente calamo* [biegle, bez patrzenia na wzór] pod dyktacją.

– A wszakże by to i dobry infimista potrafił – odpowiedziałem i pokręciłem wąsa.

Pan wojewoda poznał, że wcale nieobyczajne zadawał mi kwestie.

– Nie gniewaj się, ojcze święty! – rzekł on – ksiądz kapelan, który, jak wiesz, spełnia u mnie razem i sekretarską funkcję, zachorował dzisiaj, musisz więc jego zastąpić, chociaż to do ciebie, jako do marszałka mojego dworu, wcale nie należy; ale, ojcze święty, pomiarkujemy się o fatygę, a tymczasem siadaj i pisz list, który ci dyktować będę. Masz tu wszystko gotowe: papier, pióra etc.

Usiadłem zatem przy stoliku i przyłożywszy się regularnie – jestem gotów – rzekłem.

Pan wojewoda zapalił fajkę u komina, przeszedł kilka razy po pokoju i zaczął:

„Wielmożny Mości!... a Dobrodzieju! – z figielkiem”.

– Jest – z figielkiem.

– Jak to? Co waść napisałeś? – zapytał wojewoda, spojrzawszy przez moje ramię na papier.

– To, co JW pan dyktowałeś.

– Porzuć waść, ojczyźnie, te ze mną facecje. Na co masz głupca udawać, kiedy nim nie jesteś?

– A skądże JW pan tak prędko poznał mój rozum, kiedy tylko co wątpił, czy ja traktowałem infimę?

– No, no, dość tego. Weź drugą ćwiartkę papieru i pisz znowu.

– To więc JW pan chcesz, abym *Dobrodzieju!* napisał *per abbreviationem* [skrótowym sposobem]?

– A tak, tak właśnie. Widzisz, żeś się dorozumiał, co znaczy z figielkiem.

– Tak, dorozumiałem się wprawdzie, ale zawsze należało panu, których zapewne i retorykę przeszedł, i na Akademię frekwentował, dyktować wolej *per abbreviationem*, jak to często zdarzało mi się słyszeć w szkołach, gdzie żadne figielki nie uchodziły i gdzie ciężki z nich bywał w sobotę rachunek.

Uśmiechnął się wojewoda, puścił kilka gęstych kłębow dymu i po niejakiem namyśle:

– Wiesz co? – rzekł – czy nie lepiej by, dawnym obyczajem, zacząć od *Mnie wielce Mości Panie Bracie!*

– I mnie się zdaje, że lepiej.

– Ale bo widzisz, ojczyźnie, ta staroświecka fałszywa parentela wychodzi już z mody i, prawdę mówiąc, szlachcic nie bardzo lubi pobratanie się z sobą pana, kiedy mu go wzajemnie bratem nazwać nie godzi się; bodaj więc lepsze, *Wielmożny Mości Dobrodzieju* każdemu jednostajnie przypadające. Addytament jasności przyczepia się dziś do urzędów, które i brat szlachcic nieraz posięga; a tak wszyscy kontenci. Pisz więc, ojczyźnie, jakem wprzód dyktował... tylko że... czekaj! Idzie mi o rzecz. Ten pan podstoli *potens* [potężny] w swoim powiecie, a nie bardzo mnie życzliwy... jak się urazi za figielek i weźmie to za postpozycję, gotów mi wzajemnego figielka wypłatać i nasze imprezy sejmikowe, do których plany i insynuacje aż z Warszawy odebrałem, pomiesza, a właśnie go tym listem zapraszam dla porozumienia się... Pisz więc *Dobrodzieju!* wyraźnie.

Zadyktował potem cały list wojewoda dość gładko i grzecznie, pod końcem jednak znowu namyślać się zaczął i biorąc pióro do podpisu:

– Jak rozumiesz, ojcze święty – zapytał – *uniżonym* czy *najniższym* sługą?

– A jakbyś JW pan napisał, gdyby nie sejmiki?

– Naturalnie, że tylko *uniżonym*, a może by się i bez tego obezło.

– No, to ja radzę JW panu pisać teraz *uniżonym*: bo podstoli pozna, że tylko przed sejmikami pan wojewoda jest jego *najniższym* sługą, a potem i *uniżonym* nie będzie.

– Mądrze mówisz, ojcze święty! Stary sejmikowy Judasz nie da sobie zamydlić oczu... a zatem *non tam libenter quam reverenter*... [nie tyle z ochoty, ile z uszanowania] – I wymawiając powoli tę jakoby protestację, podpisał się wojewoda *uniżonym* sługą.

– No, teraz ojcze święty, wpisz ten list choćby tylko treścią, *ad continuationem* [w dalszym ciągu] mego diariuszu, to jest, do tej książki pod datą dzisiejszą; a potem go zapieczetujesz, zapiszesz kopertę i wyszlesz umyślnym.

To rzekłszy, wyszedł wojewoda, a ja otworzyłem wskazaną mi wielką, do połowy już zapisaną księgę. Charakter w niej był rozmaitej ręki: i samego wojewody, i księdza kapelana, i różnych innych; rzecz też rozmaita była. Wpisywano tam razem publiczne i prywatne interesa i cyrkumstancje; codzienne prawie *eventa* [wydarzenia] dworu naszego, rozporządzenia ekonomiczne komisarzom, instrukcje plenipotentom do spraw w subseliach i w trybunale; a obok tego – i w większej części – opisanie publik i sejmików przez pana wojewodę traktowanych, podróży odbytych, listów i odpowiedzi, niektórych ważniejszych *per extensum* [w całej osnowie], a niektórych w treści. Takóż rozmaite nowiny i zdarzenia krajowe, oracje i głosy, tak *in publico* [publicznie, w sprawach publicznych] przez samego pana wojewodę, jako też i przez innych sławnych oratorów miewane, a nawet rozmaite historie, sentencje, wesołe dykteryjki i wiersze przez przybyśzów i bywalców światowych opowiadane, a które wojewodzie się podobały, na koniec niektóre ciekawe prognostyki oraz sekreta i arkana doktorskie na różne defekta tak ludzkie, jako i końskie, które ja sobie najpierwej skopiować postanowiłem; słowem, bardzo to ciekawa i pożyteczna księga.

Na pierwszej karcie, nasz kochany, mądry ks. Maciej, kape-
lan, wymalował, choć to atramentem, ale pięknie, w doskonałym
konterfekcie herb pana wojewody jakoby nad bramą adornowa-
ny, a pod nim takie napisał wiersze:

Otwarta brama, z świętej Niebios rady,
Dla Tadeusza cnót ślicznej parady;
Za którą i sam postępując w tropy,
Wolny odprawi wjazd do nieba z Europy.

Podobno za ten koncept ks. Maciej dostał srebrną tabakierkę
od wojewody.

Lecz odkładając na wolniejszy czas czytanie onej i kopiowa-
nie, wziąłem się teraz do wpisania tam, podług rozkazu JW pryn-
cipała, mojego listu do pana podstolego.

Na stronicy, gdzie mi przypadło pisać, było już nieco napisane-
go z góry, a na marginesie zanotowana jakąś nieznaną ręką sen-
tencja łacińska wiadoma każdemu dworsko traktującemu: *Dum
subera suberant, subera suberare memento*¹. – A toć – pomyślałem –
wyrażną daje mi Pan Bóg przestrożę. Wojewoda tylko co powie-
dział, że o fatygę sekretarską ze mną pomiarkuje się; otóż zręcz-
ność i *momentum suberare subera*; dodawszy do tego wątpliwość
pańską, czyli ja traktował szkoły... *summa facit* [razem, w sumie]
– atlasowy żupan. Wziąłem więc demestykę papieru i napisałem:

„W rekompensę funkcji sekretarskiej oraz uznając przykładną
aplikację w szkołach marszałka dworu mojego, JJ Michała Ław-
rynowicza, asygnuję mu ze sklepu kupca Abrahama w Połosku
atlasu paliowego w *echcie* [prawdziwego] na żupan łokci dzie-
więć. Datt. 178...”

Właśnie gdym ukończył pisać i list pieczętowałem, nadszedł
wojewoda.

– A co, ojcze święty! gotowe? – zapytał.

– Jeszcze tu potrzeba jednego podpisu JW pana. – I podałem
asygnację.

Przeczytał, pokręcił głową, ale rozśmiał się, z czego wraz sobie
dobrze tuszyłem.

– Niechże i tak będzie – rzekł. Zręcznie się domawiasz. Ale na
cóż tak wiele atlasu? Czy nie można by *per abbreviationem* na
przykład łokci pięć?

– Nie można, JW panie, bo byłby żupan z fałszem, a ja prawdą chcę żyć na świecie.

– Trudno odmówić, na wszystko masz gotową rację. – I podpisał.

Powróciłem zatem do mojej oficyny w wyśmienitym humorze, a zapaliwszy także fajkę i popijając piwko, dumałem sobie to to, to owo; więc przyszło mi na myśl, że to wyśmienita książka pana wojewody i gdybym to ja taką pisać zaczął? – Uważałem rzecz tę *pro et contra* [za i przeciw].

– Na co mi ta praca liczna przyda się? Gdybym to jeszcze był żonaty... to dla pamiątki dzieciom...

– A kto wie?... może i ożenię się? Panna Rachela, respektowa wojewodzinej, nieźle na mnie pogląda...

– Tfu, do licha! – myślałem znowu – oto byłaby praca daremna... Teraz głowa wolna... Czy szatan kusi? No, ale zresztą, pędzę życie światowe, dworskie; nie z jednego pieca chleb jadłem i nie z jednego jeszcze zdarzy się jeść. Cóż to złego byłoby mieć sobie na starość kiedyś w cieplej chacie nad czym rozpamiętywać?... Głowy sobie łamać nie będę, bom nie teolog ani jezuita; a Zoila nie boję się, bo nie na *publicum*, ale *sibi soli* [dla siebie samego] pisać będę. A zatem –

*Adsis inceptis Benigna Virgo meis!*¹²

I.

SEJMIKI POŁOCKIE W USZACZU³

Anno 178... odbyliśmy z panem wojewodą sejmiki poselskie połockie. *Laus Tibi Christe* [chwała Ci, Chryste], że prawie żywi wróciliśmy!

Jest co wpisać do tej książki, ale początek niefortunny.

Przybyliśmy do Uszacza w licznej asystencji dworu naszego i przyjaciół, za nami nazajutrz napłynęła bracia szlachta naszej wojewodzińskiej partii i zajęła całą ulicę. Żydów z ich domów wyrugowałem, uczyniwszy jednak każdemu niejaką gratyfikację, choć oni by sami się przed nami wynieśli.

Przyciągnęła także nazajutrz i nasza milicja, to jest dwieście ludzi piechoty, która siedziała w chatach swoich po dobrach pana wojewody, a na rozkaz jego stawała w potrzebie. Mundury, gotowe na cały komplet, leżały na lamusach i każdy przybywający żołnierz zrzucał siermięgę, a ubierał się w zieloną kurtkę, w także szarawary, kładł nowe buty, kaszkiecik lakierowany z kitką na głowę, patrontasz przez ramię, brał flintę w rękę i stawał do szeregu.

Pan Piekarski, porucznik, który jest razem i koniuszym u pana wojewody, komenderuje tą piechotą i tygodniem przed wyjściem na publikę, najczęściej sejmikową (bo pan wojewoda z nikim, chwała Bogu, nie wojuje), wyprowadza ją co dzień na zmianę poparną za dworem na musztrę.

Pan Piekarski traktował za młodu żołnierkę w pruskim wojsku, zaczął więc z początku komenderować po niemiecku, ale że chłopci nie zrozumieli i nie mogli przyzwyczaić się do jego *rychtejt* [*richtet euch* – formujcie się, do szeregu], więc musiał potem po

polsku ich musztrować i pięknie to prostactwo wymoderować; nie mógł jednak żadnym sposobem nauczyć ich pruskich tempów do nabijania broni. Jak więc zakomenderował: *nabijaj!*, to czekał potem, aż każdy po swojemu nabił i z cicha pytał: *czy już?* Jak odpowiedzieli także z cicha: *juz!*, wtenczas krzyczał: *tou! tuj!* O Bożym świecie nie wiem, co znaczy takowe *tou! tuj!* Musi to być komenda niemiecka, ale po niej kurki *traf, traf*, na koniec *cel! pal!* i zawsze jakbyś orzech zgryzł.

Pan Piekarski rozłożył się z kompanią swoją za miastem na polu. Przeciwna nam partia Sieleckich i Nornickich z gromadą swojej szlachty zajęła także kilka ulic i krzyczała, że pan wojewoda chce być opresorem województwa, bo na walny sejmik przyprowadził żołnierzy; ale my odpowiadaliśmy, że to nie dla opresji lub jakiej gwałtownej preponderencji, ale dla powagi i asystencji jego senatorskiej godności: bo i po prawdzie mówiąc, ładunki prawie wszystkie naszych żołnierzy były puste jak do salwy przy wiwatach i tylko dla przypadku mieli oni po kilka z grubym wilczym szrotem w zapasie. Wielką miałem biedę z dostarczeniem i rozporządzeniem sumptu dla takiego tłumu, musząc nadto i *quam maxime* [jak najbardziej] myśleć, aby obiady wojewodzińskie były sute i wspaniałe, i asystować jeszcze jako marszałek dworu, to jest pierwszy dworski, samemu panu. Dobrawszy jednak sobie do pomocy kilku trzeźwych i rzeźwych szlachty, wydobywałem wszystkiemu za pomocą Bożą.

Szło wojewodzie o ważną rzecz, bo o utrzymanie na poselstwie z naszego województwa pana Sulistrowskiego i pana Brzostowskiego żądanych z góry, a przeciwnicy forytowali pana Sielickiego i pana Reuta, dobrą mając po sobie potencję szlachty, a nawet niektórych urzędników ziemskich. Rzecz więc była wątpliwa, zwłaszcza, że pan Sulistrowski, oczekiwany co dzień z Warszawy, nie przybywał, a sejmik rozpoczynać koniecznie trzeba było, bo wszyscy tego domagali się.

Dopisali wprawdzie i nam przyjaciele. Pan rotmistrz Rudomina przyprowadził sto szabel; wszedł on do miasteczka takowym szykiem: na przodzie sam konno, w mundurze wojewódzkim, z buzdyganem rotmistrzowskim w rękę, jakich już i nie widać teraz. Personat! Nie ma co powiedzieć. A wás! Mój dobrodzie-

ju! Wąs! Mój nawet marszałkowski przed nim ustąpić by musiał z placu. Za nim sześć pięknych, młodych, wysokich a opieklých dziewczek, w czerwonych aksamitnych gęsto galonowanych gorse-tach i błękitnych gredyturowych spódnicach. Wszystkie sześć grzmiały na waltorniach hucznego marsza, a za nimi szła szlach-ta, krzesząc w takt pałaszami iskry z kamieni.

Tak przeciągnąwszy przez wszystkie ulice i zgromadziwszy około siebie tłum ludu dziwiącego się takiej paradzie, pan Ru-domina przyszedł do kwatery wojewody i rejestr swej partii zło-żył mu w ręce.

– Ojcie święty! – zawołał wojewoda, patrząc na waltornie – miałbym tego za trzy litery, kto by się do takiej partii nie łączył.

Pan Stanisław Swieboda, mój dobry przyjaciel, przyprowadził także z pięćdziesiąt rębaczów takich jak sam; a faworyt to pana wojewody i filar nasz sejmikowy, bo trudno znaleźć takiego jak on gracza do korda.

II.

WIZYTA PO PRZYJACIOŁACH

W wigilią reasumpcji sejmiku, pan wojewoda rano po śniadaniu rzekł do zebranej drużyny:

– Ojcowie święci! Kto łaskaw ze mną do obejścia prześwietnych urzędników województwa naszego, poczynając od pana podkomorzego Sielickiego?

– Dlaczegoż pan podkomorzy pierwszej nie złoży submisji panu wojewodzie? – odezwał się pan Rudomina.

– Mniejsza o to, ojczy święty! Nie idzie tu o preeminencją, ale o sprawę publiczną. Owszem, dajmy z siebie przykład umiarkowania naszym przeciwnikom i dajmy pierwszy krok *ad unanimitatem* [do jednomysłności] w sejmiku. Pójdźmy.

Więc ruszyliśmy wszyscy i zabrawszy jeszcze po drodze pana podwojewodzkiego Korsaka, naszego także adherenta, szliśmy w kilkunastu za panem wojewodą.

Pan Sielicki, uprzedzony widać o tej naszej wizycie, spotkał nas w bramie swojego dworku, w którym kwaterował. Kordialne na pozór między nim i wojewodą zaczęły się ekswisceracje i wszyscy w najlepszej komitywie weszliśmy do pokojów.

Pan podkomorzy kazał podać węgryzna i spełnił pierwszy kielich za zdrowie wojewody, zaczęliśmy więc pić regularnie.

W naszej kompanii, za wojewodą przyszedł i pan Stanisław Swieboda, włokąc przy boku swego Harasima. Tak on ochrzcił swój zasłużony pałasz z furdymeniem jak kocia głowa, szeroki, prosty i ciężki, jak sztaba żelaza. Pan Stanisław nie jak na gałę był ubrany: bo będąc chudym pacholkiem, może i nie miał w co lepszego się ustroić; ale przecież po szlachecku i chędogo. Miał

on na sobie żupan sajetowy werdragonowy, dobrze wprawdzie podszarzany, ale przecież jeszcze nie dziurawy, ani łatany; pod nim pas choć jedwabny, ale słucki i nowy, a na wierzchu kurtkę z takiegoż sukna, spiętą na guzik srebrny pod szyją.

Nie podobał się taki ubiór krewnemu pana podkomorzego, panu szambelanowi, młodemu szalawile, podpitemu już dobrze i szukającemu zatem guza. Obchodził on po kilka razy pana Stanisława i domawiając wrzekomo do jego zielonej kurtki:

– Strzelczyk! – powiedział – dalibóg, strzelczyk!

Pan Stanisław pokręcał głową i nic nie odpowiadał. Tym ośmieszony panicz coraz to głośniejszym *strzelczykiem* go nazywał, z różnych stron aspektując jego figurę; uśmiechali się i drudzy, a zatem nie wytrzymał na koniec i pan Stanisław.

– Panie bracie! Panie szambelanicu! – rzekł on. – Waspan mnie znasz dobrze, ale że teraz nie poznałeś i nazywaś mnie szlachcica strzelczykiem, otóż, panie bracie, *strzelczyk waszeci nastrelaje!* – Pan Stanisław niekiedy z ruska zarywa.

Szambelanic chwycił się do szabli. Natenczas postrzeżono zwadę, której w tłumie dotąd nie słyszano. Pan podkomorzy zgromił swego krewniaka, pan wojewoda uspakajał pana Stanisława, ale ten ukłoniwszy się grzecznie, nasunął czapkę na uszy i wyszedł.

Nie bawiąc długo, ruszył się i pan wojewoda, już bowiem prze-rwała się harmonia, której gdy na gorącym razie nie sklejonu, można było łatwo zgadnąć, na czym się to skończy. Zaszedłszy potem jeszcze do pana chorążego Nornickiego i do kilku innych, wróciliśmy *tandem* [tedy, w końcu] na obiad do domu.

III.

WYZWANIE

Pan wojewoda zapytał o pana Stanisława, ale go nie było i we własnej jego kwaterze nie najdziono; widać, że się gdzieś zaszył, aby nie być molestowanym przez wojewodę o zaniechanie dalszych kroków z panem szambelanem; aż oto pod wieczór wszedł on *insperate* [niespodzianie] do mojej stancji.

– Panie bracie! Panie Michale! – rzekł – pofatyguj się z łaski swojej do tego huczka, co mię strzelczykiem nominował. Nowe panicz *stallum* [krzesło; tu: stanowisko] dla szlachcica wymyślił! Poproś więc jego, aby jutro rano, ze wschodem słońca, obaczył się ze mną przy krzyżu na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili; czekać go tam będziemy z tobą, panie bracie! A kiedy nie raczy wyjść, to wiesz, bratku, co przydeklarować!... Plac ostrzelam i uszy za pierwszym spotkaniem się obetnę.

– Czy nie można by, panie Stanisławie, zmodyfikować się? Pan wojewoda...

– A gdyby i dziesięć wojewodów! – przerwał żywo pan Stanisław. – Znaj to, panie bracie, panie Michale, że gdyby rzecz była ze szlachcicem, to mniejsza o to, nie fatygowałbym ani siebie, ani mojego Harasima, ale pan szambelan – pan, a przynajmniej siada między pany, to potrzeba go nauczyć *mores* [obyczajów], aby szlachtom po nosach nie jeździł. Więc jeżeli lękasz się narażić wojewodzie lub siebie ekspensować, to, panie bracie, powiedz mi otwarcie, a ja poszukam innego przyjaciela.

– Na to nie pozwalam – rzekłem. – Funkcja moja marszałkowska u pana wojewody nie może mi negować posługi honorowej przyjacielowi: idę więc, a zaczekaj tu na rezolucję.

Jakoż i poszedłem do panów Sieleckich, którzy całą familią mieszkali razem; znalazłem podkomorzego i starszych wszystkich śpiących, a młodzież w przeciwkowej izbie podpiła i dziwnie na nas wykrzykującą przechwałki. Już oni nas i przekreskowali, i wypędzili, i posłów wybrali.

Gdym wszedł, porwał się zza stołu, na którym pełno butelek i dzbanów, szambelanic i krzyknął:

– A ty, chłystku wojewodziński, po co tu! – na szpiegi? Na praktyki?

– Nie jestem szpiegiem – odpowiedziałem – ale posłem, a posła ani ścinają, ani wieszają.

Siedział między nimi pan Podwiński, pisarz ziemski połocki, głowacz to wielki, ale filogranowej roboty!... Więc go oni na swoją stronę chcąc przeciągnąć, poili i ujmowali. On pił mało, a mówił jeszcze mniej, tak, że go oni ani skorumpować, ani wyrozumieć nie mogli. Najczęściej występuje on jako mediator i dlatego od wszystkich jest konsyderowany. Zna on mnie dobrze, bo bywa u wojewody, więc powstał i wstrzymując zapędy szambelanica, rzekł:

– Gości panowie! To jest uczciwy szlachcic, pan Michał Ławrynowicz, mostowniczyz derpski. (Bogiem a prawdą, chyba mój jaki prapradziad był tym panem derpskim, bo ja, jak zawsze Ławrynowicz i nie wiem, jak kiedy przyszło mi zostać razem i mostowniczym, i derpskim). – Mój to dawny znajomy i przyjaciel, proszę więc go nie agramować i wysłuchać.

– Mów więc swoje poselstwo! – krzyknęli.

– Poselstwo moje – rzekłem – tyczy się jednego pana szambelanica, może byś więc pan raczył wysłuchać mnie *semotis arbitris* [bez świadków].

– Nie ma żadnego sekretu pomiędzy nami; mów, jak stoisz.

– A kiedy tak, to i powiem. Otóż przysłany tu jestem przez pana Stanisława Swiebodę, podczaszego oszmiańskiego, abym prosił waćpana, panie szambelanicu, o honorową satysfakcję za krzywdę, którąś pan dzisiaj jemu dopełnił, nazywając go strzelczykiem, z wyraźną dlań postpozycją. Czekać więc on pana będzie jutro ze wschodem słońca, na rozstajnych drogach pod krzyżem, na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili, aby *in circum* [w obrębie] jurysdykcji sądowych nie mieć akcji. Przy tym

ostrzegam pana, że jeżelibyś odmówił satysfakcji i nie stawiał się na wyzwanie (czego się nie spodziewamy), pan podczaszy plac ostrzela, a z panem do spotkania.

– Nie doczekasz – krzyknął szambelan – abyś dla mnie plac ostrzelał! Potrafię ja podczesać pana podczaszego.

– A tymczasem – rzekł, chwytając za szablę, Junosza, szlachcic z traktu zapońskiego⁴, zawołany sejmikowy zawadiaka – oporządził pana posła.

– Mości panowie! – rzekłem, odstępując w tył kilka kroków – protestuję się i biorę na świadectwo obecnego tu wielmożnego pisarza, że nikogo z ichmościów nie obraziłem, więc jeżeli poniosę jakiś *gravamen* [obrazę], zaraz manifestuję niesłuszny atak i od tego momentu *nego activitatem* [zaprzeczam prawa brania czynnego udziału] ichmościom na sejmiku.

Porwał pan Podwiński za kark zapończyka.

– Idź spać, opoju! – rzekł, popychając go do alkierza. – Panie szambelanice! Obudzę podkomorzego, jeżeli nie dasz pokoju tym burdom.

A do mnie:

– Panie marszałku! Zrobiłeś swoje, więc nie masz tu po co dłużej czekać.

Wyszedłem zatem, dopędził mnie wraz na ulicy pan pisarz.

– Panie Michale! – rzekł on – wybawiłem cię z kłopotu: bo czy cię diabli nadali przychodzić z taką propozycją, gdy ja ku pojednaniu i ku wygranej naszej (rozumie się wojewodzińskiej) rzeczy nachylał? Dlatego jedynie byłem między nimi.

Poznałem lisa, ale podziękowałem pokornie i za siebie, i za wojewodę.

– Może się dadzą rzeczy utraktować i między panem Stanisławem a szambelanem, gdy przez noc szum z głowy im wyjdzie. Waść zaś perswaduj podczaszemu.

– Trudno to będzie – odpowiedziałem.

– No, to jak sobie chce zresztą. Nieźle to czasem, kiedy młodzika zuchwałego trochę przyuczą. Ale powiedz wojewodzie, że pracuję szczerze w jego zamiarach.

– Bodaj tyle pies płakał! – pomyślałem i uściśnawszy się kordialnie, rozeszliśmy się.

Pan Stanisław, uradowany z odbytego poselstwa, podziękował mnie z płaczem prawie.

– Panie bracie! Panie Michale – rzekł potem – pójdę teraz do dominikanów na nieszpory i zaraz spać, bo przede dniem trzeba nam być na koniach; i ty, panie bracie, staraj się wywczasować się, bo cię jutro *summo mane* [bardzo rano] obudzę.

Ale mnie nie było czasu myśleć o odpoczynku, bo wnet pan wojewoda przysłał po mnie i kazał asystować sobie do pana Rudominy, który go na wieczorną hulankę zaprosił.

IV.

WIECZORYNKA

Idąc my gromadnie i huczno przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie szynkach brzmiała muzyka rozmaita: bo i ja rozdzieliłem dwudziestu czterech naszej kapeli na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich, i pan Sielicki miał swoich muzykantów, i z dziesiątek Żydków z cymbalami przywlokło się na sejmiki. Z doświadczenia wiedzieli oni, że bród i pejsów całych nie wyniosą, ale też znali i to, że w kieszenie napakują korończyków sowicie.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła; gdyśmy więc około swoich przechodzili, wypadła z domów, krzyczała: *Wiwat, pan wojewoda połocki! Wiwat!* Chwytała przy tym na ręce wojewodę i podrzucała w górę. Nie oponował się tej subiekcji wojewoda, owszem wypijał za każdym razem po szklance miodu za zdrowie braci szlachty i przyjaciół.

Ale gdyśmy mijali domy nabite partią przeciwną, to i wetowano nas niepomału; jednak wszystko mimo uszy puścić trzeba było. I tak: wyskoczył z jednego dziedzińca, na którym pili zapończyki, jakiś urwisz, a poprawiwszy czapkę na bakier, stanął przed wojewodą i tak perorował:

Panie wojewoda!
Co to za moda?
Na to niezgoda!
Żołnierzy zbierasz,
Szlachtę pożerasz!

Ryknęła za nim cała chalastra: *Szlachtę pożerasz! Szlachtę pożerasz!* Pan wojewoda, nie odpowiadając, wszedł między nich na

dziedziniec. Patrzyli wszyscy, co z tego będzie. Zaczerpnął miedzianym kubkiem miodu z cebra i ukloniwszy wokoło:

– Ojcowie święci! – rzekł – piję za zdrowie przezacnych braci szlachty traktu zapońskiego. *Wiwat!*

– Wiwat! – wrzasnęła szlachta – Wiwat wojewoda połocki! Wiwat! – I zapomniawszy wierszów, porwała także wojewodę na ręce i podrzucała w górę, nie przestając wykrzykiwać: *Wiwat!*

Jak to u nas nigdy w sercach zawziętości nie ma! Ale domyśliśmy się, że wiersze składał pan Reut: bo to ptaszek *Scholarum Piarum*, do niego z całego województwa, jak do doktora po recepta, udają się po oracje, a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przebywszy zatem szczęśliwie wszystkie szkopyły, doszliśmy przecie do dworku pana Rudominy, który nas ze swymi sześciami waltorniami, w licznej komitywie przyjaciół spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieszczkę nie z marcypanów, ale *honeste* [zacnie, uczciwie] zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosółu kilka waz, a pieczonej zwierzyny *quantitas* [mnóstwo], że aż stół się uginał. Pan Rudomina jest myśliwym, przed sejmikami poluje ze sześć tygodni. Pieczenie więc łosie i sarnie, głowy i szynki dzikowe, łapy niedźwiedzie zajmowały środek ogromnego stołu; a z zajęcy i różnego ptactwa na szerokich cynowych blatach góry poukładane; prócz tego na osobnych misach rantowych oładki do zrazów do rosółu. Odbywwszy więc kolejkę starej wódeczki, zaczęliśmy repetować wyśmienicie, zapijając tłuste kęsy wybornym trojnakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce opróżnionych mis i półmiseków stawiały nowe, również sowite, te znowu się opróżniały, bo ścisk był około stołu i coraz to więcej przybywało kompanii. Ale kuchnia pana Rudominy przemogła na koniec nasz wilczy apetyt. Za trzecią i czwartą odmianą nietknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina i zaczęły się wiwaty.

Pan wojewoda *in casu necessitatis* [w razie konieczności] nie odbiega od kielicha i rzadko komu udało się go spoić. W domu własnym gdy traktował gości, miałem zawsze kilka butelek wody zafarbowanej winem i zręcznie z nich nalewałem wojewodzie, ale gdy raz złapał nas na uczynku pan podwojewodzi Korsak, musieliśmy porzucić tę sztukę, bo się rozgłosiła wszędzie; teraz

więc, *volens nolens* [chcąc, nie chcąc] szczerzy ciągnie trunek, a jeżeli już tak się spije, że go do łóżka prowadzić trzeba, to mam w pogotowiu kilka serwet i misę zimnej wody, okładamy zatem całą głowę umoczonymi w wodzie serwetami. Wnet gorąca czupryna pana wojewody parować zaczyna, ale razem i chmiel wychodzi. *Probatum* [wybróbowane, sprawdzone], że takim sposobem trzy razy od pory do pory upić się i wytrzeźwić się można; a zapisuję to dla pamięci własnej i *propter utilitatem publicam* [dla użytku ogólnego].

Wnęć tedy po wieczerzy piliśmy u pana Rudominy *lautissime* [bardzo obficie]; za każdym wiwatem, do dna duszkiem spełnionym, brzmiały waltornie i dziewczki przyspiewywały chórem i wesoło:

Wypił, wypił, nie zostawił –
Hu! ha! nie zostawił!
Bodaj go Bóg błogosławił –
Hu! ha! błogosławił!

a potem huknęły kurdesza i czumadrychę. Wytrzymać już nie można było! Czumadrycha to skoczna nuta, więc poły za pas zawinąwszy, wyrwali nasi bracia dziewczki od waltornistów i dalej w obertasy.

Ja tego uczynić nie mogłem z racji prezencji wojewody, ależ jednakowoż choć na miejscu podskakiwałem: bo i w głowie szumiało i, powiadam, że dalipan trudno było ustać. Sam pan wojewoda ukonsolowany nader całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów i złotych posypało się, trudno by zliczyć. Garściami dziewczki zbierały pieniądze, ależ bo i warte tego! Niech ich tam... Pan Bóg sekunduje!

Razem tak wszystko: i śpiewanie, i skoki, i wiwaty, i krzyki: *hu, ha!* wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko; i dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki. Przeleknione dziewczki wrzasnęły okrutnie, my także krzyknęliśmy: *Jezus! Maria!* i osłupieli jak wryci... Wnet ktoś zawołał: *Łapać ekscesantów!* – a zatem hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wy-

chodziło i rozbiegliśmy się tam na wszystkie strony. Ale cóż? Noc ciemna, choć oko wykol, i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne; więc po śliskiej ziemi, każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędy i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkwaśił, wstawał jednak i latał, jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli: *Łapaj! Bierz! Trzymaj! Bij go! Wiąż!* – nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał, i znowu obydwu polowali. Zamieszanie i zgiełk niewypowiadziany – istna wieża babilońska.

Na koniec zapalono kilka pochodni, ale i to nic nie pomogło; posmalili tylko drzewa i gdyby nie deszcz, może by dworek zapalili. Ogródek, dość obszerny, obity jest ostrokołem; widać więc, że pijanice jakowś, strzeliwszy do okien naszych jak w ul, w tenże moment przeskoczyli ostrokół i już byli daleko, gdyśmy ich szukali; znaleźliśmy tylko pod płotem rozek z tabaką i to cały sukces wyprawy.

Zmokli po próżnej bieganinie zebraliśmy się przecież do izby. Pan Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwaterze taki traf spotkał wojewodę, przepraszał go pokornie, choć najmniej nie winien, raniutko nazajutrz miał manifestować, sam nie wiedząc kogo, a na koniec, po wzajemnych najserdeczniejszych ekspostulacjach wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!
A my jego słudzy,
Pijmy, jak i drudzy.
To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!⁵

I rozpaliwszy pochodnie, poszliśmy do własnej kwatery.

V.

POJEDYNEK

Nazajutrz przed wschodem słońca, wszedł do mnie pan Stanisław.

– Panie bracie! Panie Michale! – rzekł on, budząc mnie rozespanego. – Wstawaj! Konie gotowe!

– Ależ mnie prędko powrócić trzeba, bo jak się obudzi wojewoda, pewny jestem, że zaraz zawoła, tym bardziej, że dziś reasumpcja sejmiku.

– Nu to, bratku, za kwadrans będziemy na miejscu. Wiem przez moich szpiegów, że Jeśpan szambelaniec bez zawodu stanie na placu z kilku adherentami, nie będziemy więc długo czekać. Sama zaś sprawa... nie pociągnie... nadzieja w Bogu i w Harasimie.

Przypasałem więc i ja moją Elżutkę – szablę augustówkę, którą mam w prezencie od pana Burzyńskiego, starosty brasławskiego, zięcia pana wojewody, i ruszyliśmy konno kłusem gościńcem wileńskim.

Przybywszy na wyznaczone miejsce, oddaliśmy konie kozakowi, który je o staję odprowadził. Pan Stanisław dobył Harasima i wbił go w ziemię, a z kieszeni dobył małą paczkę i położył ją na kamieniu.

– A to co, panie Stanisławie?! – zapytałem.

– To, panie bracie, chleb razowy i pajęczyna: doświadczone szlacheckie *vulnerarium* [lekarstwo na ranę]. Każdy prawie szlachcic, wybierając się na sejmiki, ten raz przynajmniej obiera chatę z pajęczyny i ma ją z sobą w zapasie na pogotowiu, bo w przypadku niespodzianym (tu poprowadził palcem przez nos i gębę) zaraz w kieszeni remedium, które i krew zatrzymuje, i w krótkim